



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Chawa Rubin

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Chawa Rubin

Zwracam uwagę szanownych czytelników, że osoby i wypadki, które tu opowiedzieć zamierzam, należą do warstwy społecznej, niewynagradzającej swych rzeczników, że więc ja podjąłem się tego opisu całkiem bezinteresownie. Zastrzeżenie to uważam za konieczne, ażeby trybunał opinii publicznej wyrokując o pobudkach moich w tym względzie, nie odnalazł między nimi takiej, któraby mnie o chęć zasłużenia się współwynawcom moich bohaterów oskarżała. I dlatego przedewszystkiem winienem wytłómaczyć, że nazwisko *Rubin* oznaczać mogło jedynie, czem Chawa i jej mąż Symcha być chcieli, ale nie czem rzeczywiście byli. Byli bowiem tak biedni, że bez ubliżenia swej zamożności mogliby się przezwąć najzwyczajszymi Piaskowcami. Pradziad Symchy, chcąc osiąść bodaj nazwę klejnotu i na swoje rodzeństwo przenieść jego czarodziejskie słowo, nazwał się Rubinem. Nie pomogło to wszakże nic ani jemu, ani potomkom. Symcha był rubinem, oprawnym w najdoskonalszą nędzę. Nie brakło mu rzeczywiście niczego, co tylko do uduśzenia biedaka jest potrzebne. Jako „husyt” przesiadywał ciągle w bóżnicy; przekonany, że pochodzi z „bardzo dobrej familii” ,uznawał się za znakomitość, którą świat wspierać powinien i której umrzeć nie da; wreszcie od lat kilku chory na piersi był niezdolnym do żadnej ręcznej pracy. Śmierć ojca zgubiła go ostatecznie. Dostał bowiem w spadku ćwierć domu w Kazimierzu nad Wisłą, ćwierć walącej się rudery, której dolna krawędź okien już niżej poziomu błotnej uliczki zapadła i którą nawet kasyer miejski jako przeznaczoną do rozebrania od podatku uwolnił. Mimo to Symcha był dumnym ze swego dziedzictwa, które go obdarzyło tytułem „gospodarza”. Przyjąwszy do swej izby, stanowiącej całą jego własność, dwu lokatorów, odtąd albo się kłócił z nimi, albo obiecywał „na wiosnę” reperację, albo siedział na ławce przed domem i wygrzewał się na słońcu lub rzucał trzem kurom gotowane łupiny kartofli. Nawet bóżnicę zaniedbywał. Choroba, głód, duma rodowa, wreszcie uczucie godności gospodarskiej — wszystko to wprawiało biednego żyda w stan zupełnego bezwładu. Gdy mu próżniactwo dokuczyło, wychodził na rynek i rozprawiał z przechodniami o licznych kupcach na jego posiadłość, której nikt nie pożywał. Ponieważ lokatorowie mu się nie wyplacali, więc zapytasz czytelniku, z czego Symcha z czworgiem dzieci żył?

Dla rozwiązania tej zagadki potrzebna nam jest właśnie Chawa Rubin.

Artysta, umiejący odnawiać uszkodzone obrazy, powiedziałby, że trzydziestoletnia Chawa była kobietą piękną. Rzeczywiście każdy mógł w niej jeszcze dostrzedz regularny kontur twarzy, zgrabny nos, ogniste czarne oko, maleńkie modelowe ucho, pociągający uśmiech, ale wszystko to oszpecone było tyloma znamionami nędzy, że wolę mówić o pracowitości Chawy, niż o jej urodzie. Była ona zaś pracowitą tak, jak tylko być musi żydówka, utrzymująca męża i czworo dzieci z handlu, w którym trzy ruble jest całą sumą kapitału obrotowego. Gdyby Chawa urodziła się katoliczką, zarabiałaby dziennie kilka złotych i żyła dostatnio; jako żydówka, znajdująca zbyt wiele rodzajów trefnej pracy, musiała trudnić się wyłącznie pośrednictwem w nabywaniu niezbędnych artykułów życia, co jej dawało w zwykłym biegu rzeczy 20 do 25 groszy dziennie czystego zarobku. I to jedynie przy bardzo wielkich wysiłkach! Trzeba było rano pobiedz do kolonii o 3 wiorsty za miastem, odebrać dzierzawione mleko i roznieść po domach; trzeba było oblecieć kilka wsi i kupić parę garnczków masła lub sera dla żon urzędników; trzeba było do sąsiadującego z miastem folwarku dostarczyć nafty — i tak dalej. W małej mieścinie, gdzie każdy ma wszystko w domu, albo łatwo nabyć może, pośrednictwo w kupnie musi być bardzo ograniczone i tylko kosztem skromnych wymagań utrzymać się daje. To też Chawa od świtu do nocy biegła za 25 groszami. Zakłębem kołem jej ubóstwa był szczupły kapi-

tał zakładowy, który nie pozwalał na szerszy handel. Gdyby miała do rozporządzenia 50 rubli, niezawodnie w ciągu lat trzech nosiłaby w szabas atlasowe suknie i odbierała od kazimierskiej arystokracji grzeczne ukłony. Ale ona posiadała w ruchu tylko trzy ruble. Rozszerzyć pieniężną podstawę swego handlu mogła tylko jednym sposobem: szeregami śmiałych i szczęśliwych operacji. Nie brakło jej do tego dwu najważniejszych przymiotów: ambicji i odwagi. Ciągłe marzyła o zamożności i ryzyku. Raz nawet, przybiegłszy do pewnej wioski, o mało nie zadatkowała dziesięciu garncy miodu, powstrzymała się jednak z obawy stracenia całej swojej gotówki. Gdy jednak dowiedziała się, że jej znajomy kupił ów miód i zarobił na nim cztery ruble, rozpląkała się i postanowiła przy pierwszej sposobności odważyć się na krok stanowczy.

Pewnego dnia pobiegła nad Wisłę kupić kilka węgorzy. Zbliżywszy się do rybaków, zauważyła nadzwyczajne między nimi ożywienie. Powodem były cztery świeżo złowione jesiotry. Chawie błysnęła natychmiast szalona myśl: a gdyby kupić? Z drżeniem w głosie spytała o cenę.

— Hurtem po pięć groszy za funt — odrzekł jeden z rybaków. Będzie funtów sto pięćdziesiąt.

Chawa zaczęła się namiętnie targować.

— Co tam gadać — mówił rybak — już z miesiąc jesiotra nie złapaliśmy. Sprzedacie po złotówce.

Chawa tak była olśniona nadzieją zysku, że zgodziła się na cenę i dała „tymczasem” trzy ruble. Resztę spodziewała się dopłacić z natychmiastowej sprzedaży. Idąc z rybakami do miasta, rozgorączkowana wzruszeniem, które jej twarz rumieniło, przebiegła myślą wszystkie domy, gdzie znaleźć mogła zbyt na swój towar. Podśudek, pisarz, podpisarz, rejent, burmistrz, kasyer, garbarz... piętnaście groszy za funt, dwadzieścia, złoty, może nawet... Na tę myśl oczy Chawy zaiskrzyły się dawno zgasłym blaskiem, koło ust przewinął się rozkoszny uśmiech. Poprawiła czepek, zaczęła biedz tak prędko, że obciążeni jesiotrami rybacy ledwo za nią zdążyć mogli. A jeśli nikt nie kupi?

Sto pięćdziesiąt funtów ryb na sam Kazimierz, gdzie w dzień powszedni ledwie trzydzieści osób może sobie pozwolić takiego zbytku... Przystanęła strwożona, tchu jej w piersiach zabrakło, ale wkrótce znowu ożywiona, zsunąwszy chustkę z głowy, pobiegła.

— Idźcie do mojej chałupy — rzekła do rybaków, wyrwawszy im jednego jesiotra — i poczekajcie trochę, ja zaraz przylecę, tylko pieniądze rozmienie.

I nie czekając odpowiedzi, popędziła ciasną uliczką na inny kraniec miasta. Chawa zbyt była w swym handlu doświadczona, ażeby odrazu nie spostrzegła, że jeżeli chce sprzedać tyle funtów ryb, musi z niemi obchodzić możnowładztwo małomiasteczkowe koleją godności. To też jakkolwiek mieszkania innych pań miała po drodze, pobiegła w przeciwną stronę miastado podśudekowej. Rachunek nie zawiódł. Pani podśudekowa, po niedługim stosunkowo targu, kupiła całego jesiotra za trzy ruble, to jest przeszło po jedenaście groszy za funt.

Upojona jeszcze nadzieją wielkiego zarobku, z drugiej strony niespokojna o dalszy ciąg sprzedaży, Chawa w drodze do domu naprzemian doznawała uczuć żalu i radości.

— No, co tam — myślała biegnąc zmęczona — taniej raz, drożej drugi raz. Wzięła całego, dała odrazu pieniądze, mogłabym oba tamte jesiotry darować i miałabym moje trzy ruble.

— Moje trzy ruble — zawołała głośno, ściskając w kieszeni paperek. — Pięć złotych im się należy, więc dopłacę — dwa jesiotry pięć złotych nie warte?...

Zdaleka ujrzała Chawa przed domem męża rozprawiającego z rybakami i szturgającego kijem jesiotry, którym dzieci bojaźliwie się przyglądały.

— Jakie ryby, co mi za ryby — mówił pogardliwie. Kto to je? — głodny; a kto zapłaci? — głupi. Oj, oj, specyal! Nie dała zadatku?

— Dała, odparł jeden z biedaków, ale z resztą nie przychodzi.

— Gwałt, nie przychodzi, to ja nie mam kamienicy, ja nie gospodarz, mój majątek nie wart pięć złotych?!

Spostrzegłszy nadchodzącą żonę, Symcha podniósł nagle o kilka tonów głos swej dumy.

— Na moja hipoteka nie siedzi ani grosz, to dwajesiotry się zmieszczą. Ja nie takie głupstwa handluję, ja powiedział, ja mam dom, Symcha gospodarz.

Uspokoiwszy męża ostrem napomnieniem, Chawa odezwała się do rybaków.

— Trzy złote mam dopłacić...

— Pięć! zawołali rybacy.

— Jak to? Po rublu i złotówce sztuka.

Rozpoczął się spór, Chawa z nałogu i w nadziei wynagrodzenia sobie taniej, jak mnie-mała, sprzedaży pierwszego jesiotra, chciała coś wytargować; usiłowania jej wszakże oka-zały się daremne.

Po odejściu rybaków usiadła na ławce przed domem i zaczęła obcierać fartuchem twarz z potu, nic nie odpowiadając na płaczliwe krzyki dzieci, które ją w cztery strony szarpały. Wreszcie wyjęła z kieszeni dwie gruszki, rozgryzła je na połowy i zatkała niemi czworo rozwartych ust.

— Symcha — zawołała na męża, który z rękami w tył założonemi przypatrywał się omszonym gontom swego domu. Zanieś ryby do izby.

— Tu im nie zimno — poleżą... odrzekł flegmatycznie i kaszląc powlókł się ku miastu.

Chawa zatrzęsała się od gniewu a w oczach jej błysnęły dwie pełne łzy. Nienawidzi-ła ona męża za lenistwo i chorobę, o ile w jarzmie ciężkiej pracy nienawidzić można. Gdyby Symcha był zdrowym, czułaby do niego pewne przywiązanie; gdyby próżnował tylko z religijnych pobudek, cierpliwie sama znosiłaby calebrzemie utrzymywania rodziny. Ale Symcha unikał najdrobniejszego zajęcia przez nałóg husyty i skutkiem naturalnej w stanie jego zdrowia bezwładności. Pasorzyt chory a rozmnażający się — czy może być coś okropniejszego dla karmiącej całą rodzinę ubogiej żony?

Chawa ciągle milczała, zajęta jesiotrami, których prędko należało się pozbyć, ażeby im skwar lipcowy nie zaszkodził. Głucha na ponowne wrzaski dzieci, powstała szybko i pobiegła do leżącego nieopodal domu, do jednej ze swoich klientek, pani kasyerowej, którą spotkała w ogródku.

— Aj, aj, pani kochana, co ja dla pani mam, nikomu jeszcze nie pisałam... Świeżutki, piękny, bardzo piękny jesiotr.

— Jesiotr — rzekła kasyerowa — to nie ryba, to nie ryba. Przeszłego roku zamary-nowałam dwadzieścia funtów i połowę wyrzuciłam, bo nawet dzieci jeść nie chciały.

— Co pani mówi, co pani mówi... Nieboszczyk rejent to wołał, niż smażone grzyby... Pani podsędkowa zawsze przypomina: Symchowa, Symchowa, a kiedy dla mnie będzie jesiotr?

— Wreszcie, jeśli tanio...

— No, dla pani po złotówce funt.

— Idźcie dalej, za tę cenę będę miała łososia.

— Mnie samą dwadzieścia pięć groszy kosztuje, muszę coś zarobić.

— Piętnaście groszy dam i wezmę trzydzieści funtów.

— Co ja zresztą zrobię? Ach pani kochana, taka smaczna ryba, aż żal jeść. No polecę do burmistrzowej, może ona do wspólki weźmie.

Tymczasem pani burmistrzowa, dowiedziawszy się, że Chawa — która o przestrzega-niu stopni znaczenia na chwilę zapomniała — zgłosiła się naprzód do kasyerowej, żydówkę za drzwi wyrzuciła.

— Szelma — krzychała zatrzaskując drzwi — ona mnie będzie częstować tem, co jakiejś kasyerowej od gęby odpadnie. Ja ci to przypomnę!

Chawa nie miała nawet czasu zmartwić się tem przyjęciem i popędziła dalej. Bóg handlu jednak widocznie postanowił ciężkiem dopuszczeniem ukarać ją za zuchwałą pró-bę, bo nigdzie ani całego, ani połowy jesiotra sprzedać nie mogła. W jednym domu nie było państwa, w innym — pieniędzy, tak że Chawa obleciawszy daremnie całe miasto, wróciła zgnębiona do domu.

Co zrobić? Pytanie to jest równie straszną marą przed oczyma kupca, którego nałado-wany towarami okręt na morzu się przedziurawił, jak i przed oczyma ubogiej handlarki, od której nikt nie chce nabyć dwu jesiotrów. W chwili takich niebezpieczeństw pierwszą myślą jest ratowanie swego kapitału. Po dopłacie rybakom brakowało Chawie do wło-żonej sumy pięciu złotych. To też szybko przecięła siekierą jednego jesiotra i zniosła połowę do kasyerowej. Jeżeli odbierze całą należność, będzie miała dwa ruble czystego zarobku, chociażby reszta ryb zgnęła. O, słodka nadziejo, o rzadki dniu szczęścia! Dwa

ruble zarobku, za kilka godzin latania! Zamożniejsi od Chawy pod warunkiem takiego powodzenia handlowaliby rybami.

Dnia tego wszakże omal ziemia pod jej stopami na wodę się nie zmieniała.

Pani kasyerowa bowiem oświadczyła naprzód, że po piętnaście groszy za funt nie da, tylko po dziesięć, i że zapłaci dopiero nazajutrz. A więc Chawa swoich trzech rubli w kieszeni nie miała, gotowizną ani grosza przez większą część dnia nie zarobiła! Odurzona tą myślą, z wyrazem dziwnej stanowczości w twarzy, szła zadumana do domu. Była godzina pierwsza po południu. Symcha, skubiąc liście buraka, rzucał je kurom, które daremnie oszukać próbował. Dzieci, siedząc w kupce pod ścianą, żuły łupiny niedojrzałych strączków grochu, których garść ojciec im z miasta przyniósł. Spostrzegłszy matkę, gwałtownie krzyknąć poczęły. Chawa podniosła najmniejsze, pocałowała i weszła do izby.

— Kup im funt chleba — rzekła do komornicy kładąc cztery grosze — bo ja wylecieć muszę.

I nie zważając na krzyk dziecka, wybiegła z domu, porwała leżącego pod oknem jesiotra i zarzuciwszy go na ramię, popędziła ulicą, wiodącą za miasto.

— A dokąd to Symchowa? — spytała jakaś staruszka, siedząca na ganku z pończochą w ręku.

— Do Puław, kochana pani — rzekła Chawa, zbliżywszy się i ucałowawszy rękę staruszki.

— Niesiesz jesiotra? Dla kogo?

— Albo ja wiem, dla kogo. Tu nie mogę sprzedać. Mam jeszcze połowę w domu.

Ja ją wezmę. Przyjechał do mnie na wakacje wnuczek z dobrym apetytem. Ale czy ty taki ciężar do Puław zadźwigasz?

— Ach moja pani, ledwie stoję. Jeszcze dziś nic nie jadłam, nie wiem nawet, czy dzieciom zdążę ugotować. Ale cóż robić? Ryby nie mogę długo trzymać. Kupiłam trzy jesiotry, jednego wzięła pani podsędkowa po jedenaście groszy funt, połowę pani kasyerowa po dziesięć, resztę mam i lecę do Puław. Dotąd nic nie zarobiłam, nawet całych trzech rubli nie odebrałam. A jak te pieniądze od pani stracę, to już chyba z dziećmi ziemię gryźć będę musiała.

Staruszka, przed którą Chawa tak szczerze się spowiadała, była wdową po ogrodniku książąt Czartoryskich w Puławach. Straciwszy ukochanych państwa a potem męża, nie mogąc żyć w miejscu tylu smutnych dla niej pamiątek, przeniósł się do Kazimierza, gdzie ze skromnego fundusiku i wsparć licznej rodziny utrzymywała się z ułomną, niezamężną córką. Ona to przed dwoma laty pożyczyła owe trzy ruble, którym Chawa zawdzięczała wszystkie swoje operacyehandlowe i których całości ze szczególnym staraniem strzegła. Najpomysłniejsze zyski w niedalekiej przyszłości nie zdołały jej zabezpieczyć od niepokoju, jaki uczuwała, ile razy czarodziejskie trzy ruble bodaj na chwilę, bodaj częściowo z rąk jej się wysunęły. Wtedy doznawała nieopisanego strachu, widziała się nad przepaścią, w którą wraz z całym rodzeństwem wpadnie. Z tej także bojaźni płynęła jej gwałtowna chęć natychmiastowego sprzedania jesiotrów. Do trzech rubli brakło jej pięciu złotych.

Charakterystycznym znamieniem stosunku Chawy do babci Włostowickiej była szczerść żydówki. Ona, która przy sprzedaży okłamywała wszystkie małomiasteczkowe panie, tej jednej mówiła sumienną prawdę.

— Po czemuż kupiłaś jesiotry? spytała staruszka.

— Po pięć groszy funt — odrzekła Chawa.

— To zarobiłaś.

— U pani podsędkowej, bo kasyerowa nie oddała mi pieniędzy.

— No idź, moja kochana, nie wiem ja, kto tam teraz w Puławach mieszka, ale podobno dużo państwa zjechało.

Chawa ucałowała rękę staruszki i pobiegła. Z Kazimierza do Puław wiorst dziesięć, niełatwym więc było odbycie tej drogi z ciężarem pięćdziesięciu funtów na plecach. To też przewieszony przez ramię żydówki jesiotr zdawał się sceptycznie kiwać głową nad jej śmiałym przedsięwzięciem. Mimo to ona, chociaż głodna i strudzona, szła ostrym krokiem. Na trzeciej wiorście odpoczęła. Jakiś przejeżdżający obywatel, spostrzegłszy u jej nóg rybę, kazał stanąć.

— A co to macie? — spytał.

— Jesiotra — odrzekła Chawa z bijącym sercem.

— E, jesiotra — bąknął wzgardliwie i pojechał dalej.

Może w Puławach każdy tak kiwnie? Chawa porwała się i ruszyła w drogę. Po dwu wiorstach znowu spoczęła. Rozmyślając nad swoim strapieniem, ujrzała nadjeżdżającą w tymże kierunku biedkę, na której obok furmana siedział zabrany po drodze żyd. Znany w Kazimierzu roznosiciel listów, dymysonowany żołnierz, wyklęty z ambony i objany w magistracie pijak, jechał z pocztą i na własny rachunek wziętym pasażerem.

— Franek, Franek! — wołała — poczekaj.

— Czego? — odrzekł furman, zatrzymując konia.

— Weź mnie do Puław.

— Chyba doprzężecie swoją rybę, bo moja szkapa nas nie uciągnie.

— Czy to daleko — trzy skoki zająca.

— To skaczcie.

— Nie gadaj, nie gadaj.

— Ale gdzie usiądziecie, Mośkowi na kolanach?

— Znajdzie się i dla mnie miejsce.

Nie czekając pozwolenia, zaczęła się wdrapywać.

— Dawać naprzód złotówkę — wołał Franek.

— Głupiś, ja cię nie skrzywdzę.

Pojechali.

— Dlaczego ty dziś z pocztą jedziesz? — spytała.

— Jędrzejowi dziecko umarło — odrzekł Franek — mnie pan wysłał. Czort nie robotą.

— Lepiej z listami miasto obchodzić i na wsie piechotą latać?

— Niby latam! Pies by tam buty zdzierał. Trzeba list do jakiego dworu odnieść, to szukam furmanki. Jest — dobrze, nie — to czekam. Papier nie kwiatek, nie uschnie.

— A jak pilno?

— Mnie nie pilno, chyba *karman* pusty.

— Dużo miewacie listów na wsie?

— Czort liczył. Toć wszystkich nie odnoszę, tylko te, co napisane, żeby przez posłańca wyprawić i co panowie sobie z poczty każą do domu dostawiać, za kwitem, *zakażne, strachowe*.

— Dobrze ci za drogę płacą?

— Ot, bzdura. Czasem kopiejek dadzą, a czasem kaszy. Ja temu z Uściąża powiedział w tamtą niedzielę, że ja nie wróbel, żeby on mnie kaszę sypał. Z Polanówki dobry szlachcic: wczoraj rubla za list rzucił.

— Rubla! — zawołała wzruszona Chawa. Toć do Polanówki nie ma mili drogi.

— Sześć wiorst. Łyknał sobie człowiek parę *stakanków*, poczhalterowi się sprzeciwił, poczhalter w *szeję*, ja jego *wyrugał*. Mówił, co mnie odprawi — *sobaka*. No już poczta niedaleko, żydy wysiadać.

Chawa zeskokczyła.

— Bóg zapłać — rzekła.

— Co, psia wiaro, ja do twego boga mam iść po zapłatę? Złotówkę dawaj.

— Franek, ty oszalał. Za kawaleczek drogi złotówkę!

— Jak dziesięciu kopiejek nie położysz, kawał ryby sobie ukroję.

To mówiąc, wyjął nóż, gotów do spełnienia groźby.

— Szelma, co robisz! — krzyknęła rozpaczliwie żydówka — masz, masz zbóju.

Wyrzuciwszy jesiotra i ściągnąwszy opłatę od Mośka, Franek gwizdząc pojechał dalej. Chawa ze swym ładunkiem na plecach pośpieszyła tąż samą drogą i zwróciła się w aleję ku Instytutowi Maryjskiemu. Tam najpewniej spodziewała się sprzedać. Zaraz na wstępie jednak spotkał ją zawód. Gospodyni bowiem objaśniła ją, że wszystkie artykuły żywności nabywa tylko większemi partjami i że kilkanaście lub kilka jesiotrów chętnieby wzięła, ale jeden nie przedstawia dla niej żadnego użytku.

Opuszczając Instytut, Chawa się rozpłakała. A jeżeli wszędzie odmówią? — pomyślała. Ryba długo czekać nie może. Wlokła się przez ulicę z jesiotrem na plecach, w nadziei, że kto z przechodniów ją zaczepi. Gapiów zgromadziło się dużo, ale nikt nie zatargował. Wreszcie jakiś niemłody jegomość, przystanąwszy, zapytał:

— Dla kogo to?

— Na sprzedaż — odrzekła Chawa.

— Świeży?

— Dopiero co złapany.

Obejrzał rybę.

— Ile chcecie za całą sztukę?

— Pięć rubli.

— Cztery weźmiecie?

Chawę opanowało radosne wzruszenie.

— Ach, wielmożny panie — błagała — to zamało. Mnie samą tyle kosztuje.

— Weźmiecie?

— Gdzie zanieść?

— Do tego domu, do doktora Pryskego. Tam zapłacą.

Napisawszy kilka wyrazów na bilecie, wręczył go żydówce i odszedł.

Gdyby Chawa była żoną Lota a na Puławy miał spaść deszcz siarczysty, nie załatwiłaby sprzedaży i nie uciekła prędej. Są istoty, którym kilka rubli zarobku skrzydła do ramion przypina. Chawa biegnąc do domu, śmiała się, klaskała w ręce, opowiadała sobie coś przyjemnego i objawiała taką radość, jak gdyby dla uczczenia zyskanych kilku rubli zwaryować miała. Ciało jednak, chociaż chwilowe odurzenie potrzeby jego uśmierzy, w końcu upomina się o swoje prawa. Żydówka, prócz kilku suchych, z zeszłego dnia pozostałych kartofli, od rana nic w ustach nie miała, a dzień już chylił się ku wieczorowi. Wycieńczona głodem, strudzona całodziennym lataniem, gdy paroksyzm radości przeminął, uczuła gwałtowne w nogach omdlenie. Dowlokłszy się więc do najbliższej wioski, weszła do karczmy. Za stołem siedział Franek obok młodego, nieznanego człowieka, z którym przeglądał pakiet pocztowy i raczył się wódką. Stojący nieopodal żyd, karczmarz, przypatrywał się ciekawie tej wesołej biesiadzie.

— Niektóre ludzie w pocztowej służbie — mówił nieco już podchmielony Franek do swego towarzysza — mają takie w palcach czucie, co od razu poznają, czy w liście są pieniądze.

— W tym być muszą — odrzekł towarzysz — grube, tłusciuteńkie. Możeby wypatroszyć?

— No!

Chawa, zajęta swojemi myślami, nie zauważyła dobrze tej sceny i kupiwszy dwa placki, wyszła przed karczmę, usiadła na kłocu i jeść zaczęła. Przez otwarte okno dolatywały do jej uszu głośnie śmiechy, a raz nawet wyraźna, niezrozumiała dla niej groźba Franka:

— Ja by ją naznaczył!

Po chwili Franek wyszedł z karczmy pijany i zatoczył się do swojej biedki, na którą z wielkim trudem usiadł.

— Hej, żydówka, jedziesz ze mną? — zawołał.

— Nie — odrzekła Chawa.

Franek rozśmiał się, ciął ją po plecach biczem, potem uderzył konia, i odjeżdżając, zawołał:

— Ty wiedźma myślisz, że ja by się do ciebie zalecał?!

Chawa krzyknęła z bólu, rzuciła kilka przekleństw, chwilę popłakała, wreszcie straciwszy w żalu apetyt, schowała resztę placka do kieszeni i puściła się w drogę. O czym idąc nie myślała, trudno było powiedzieć. O połowie jesiotra w domu, o dwu sprzedanych, o kosztach podróży, o głodnych dzieciach, o zbyt kłopotliwej dla nich kolacyi, o roznoszeniu listów, o Franku, o jego biczu... Może tylko mąż nie zajmował jej wcale. Z twarzy Chawy widać było, że jej mózg ustawicznie pracuje, z ust zaś wypadały oderwane cyfry groszowego rachunku. My, znający jej tajemnicę handlu jesiotrami, nie będziemy się temu dziwili. Wszakże nie licząc należności od kasyerowej, Chawa już tego dnia zarobiła przeszło trzy ruble. Trzy ruble czystego zarobku! Trzeba być wilczycą, ażeby zrozumieć radość ze zdobycia wołowego uda dla dzieci.

Już zmierzch zapadał, gdy Chawa doszła do sąsiadującej z Kazimierzem wioski. Idąc nad rowem, usłyszała jakieś głośnie chrapanie a niedaleko spostrzegła konia, włóczącego po błonię przewróconą biedkę. Domyśliwszy się, że to pewnie pijany Franek przyśpiesza troskliwie listowną wymianę myśli i przypomniawszy sobie skuteczność jego bicza, zaczęła

klusem uciekać.

Myliłbyś się kochany czytelniku, gdybyś sądził, że Chawa pod wpływem tego spotkania rozpamiętywała może, na jakie kaprysy losu narażona jest u naskorespondencya; bynajmniej, ona po prostu myślała, jaki ten Franek szczęśliwy, że listy roznosi i w Polańcówce rubla za drogę dostaje...

Ujrawszy światelko w oknie swego domu, poczuła przyjemny dreszcz, przebiegający jej ciało. Dawno już nie wracała z tak obfitym zarobkiem, dawno już nie mogła wyprawić tak zbytkownej jak dziś kolacji. Cieszyło ją nadewszystko to, że dziesięciomiesięczny Icek którego przez cały dzień uspakajano kartoflami, zje wreszcie jakiś przysmak, odpowiedni jego wiekowi. Ażeby czasu nie tracić, pobiegła naprzód na rynek, kupiła kwartę mąki, za trzy grosze masła, kwaterkę mleka i jedną figę. Już zdala usłyszała w izbie rozpaczliwy płacz dzieci. Innej sfery matka przeraziłaby się niezawodnie, sądząc, że w jej rodzinie stało się jakieś nieszczęście. Chawa wiedziała, że jest to tylko chór czworga głodnych żołądków.

— No, cicho, cicho moje małe — zawołała, wpadając do izby, w której dwu chłopców szlochało po kątach a dziewczynka starała się uspokoić najgłośniejszy krzyk Icka.

Chawa, ucałowawszy go, włożyła mu w usta figę, między troje innych rozdzieliła nie-dojedzony w drodze placek i tym sposobem wkrótce uspokoiła całe gniazdo.

— Gdzie ojciec? — spytała najstarszej córki.

— Poszedł ślub dawać, będzie na weselu.

— Nie gotował nic?

— Nie jadł.

Jeszcze nie upłynęła godzina, kiedy skrzętna Chawa już zasiadła z dziećmi do spożycia rzadkiej wieczerzy — klusków z kartoflami okraszonych masłem, a dla Icka zaprawionych mlekiem. Kluski były głównym przysmakiem tej uczty, gdyż budżet zwykłych wydatków na życie, ograniczający się do piętnastu groszy dziennie, na zbytki podobne nie pozwalał. Kartofle ulegąłki, kasza jęczmienna, oto były powszednie artykuły żywności w rodzinie Rubinów.

Jak rozkoszny miała Chawa sen tej nocy, daremnie sililibym się opisać. Był to sen szczęśliwca, który wygrał na loteryi, nędzarza, który znalazł wór złota, albo jak rzekłem, wilczyca, która koło legowiska zagrzebała ledwie napoczęte udo wołowe.

— Gdzie się włóczysz — gderał na drugi dzień Symcha — ty nie masz męża, nie masz dzieci, na spacer sobie chodzisz. Coś zarobiła?

Chawa milczała, nie chcąc zdradzać swych kapitałów, ażeby mąż, który już od trzech lat myślał o sprawieniu sobie nowego szlafroka, bez czego obywatelskiej godności przyzwyczajony piastować nie mógł i który dom miał odnowić, nie zechciał ich zagarnąć.

— Ty pani — mówił dalej — ty dla siebie kupujesz jesiotry. Co będzie z tą połową, kto weźmie?

— Sprzedam — odrzekła Chawa krótko i wysłała zabrawszy resztę ryby. Dokąd? Prawie wszystkie domy obeszała; przebiegając jednak wspomnieniem wypadki dnia wczorajszego, dzięki zajściu z Frankiem przypomniawszy sobie pocztę. Wprawdzie pan Chrzęstkiewicz żonie pensję kredytem wypłacał i długów nie pokrywał, ale czasem, gdy miał, szczególnie gdy jaka chłopka pieniądze mężowi służącemu w wojsku posyłała, poczalter na wydatki domowe nie żałował i gotowizną płacił. Obawiała się Chawa z początku awantury z Frankiem, ale wreszcie wytłomaczyła sobie, że Franek wobec pana Chrzęstkiewicza nie jest Frankiem w drodze do Puław. Poszła.

Urząd pocztowy mieścił się w Kazimierzu na wysokiej górze, prawdopodobnie dla tego, żeby dwa rumaki pana Chrzęstkiewicza, zaprężone do ekstrakurpocztovej bryczki, mogły ruszyć z miejsca galopem i bodaj na chwilę przekonać pasażera, że one nie są tak flegmatyczne, jak wyglądają. Jeszcze Chawa była u spodu góry, gdy już usłyszała groźny, miotający gromy przekleństw głos poczaltera. W takiej chwili przybyć z jesiotrem, nie było bezpiecznie, ale znowu nie dowiedzieć się, o co rzecz idzie — przykro. To też Chawa po chwili namysłu wsunęła się w krzaki i pod ich osłoną zaczęła ostrożnie postępować ku górze. Za każdym krokiem coraz wyraźniej rozpoznawała powody awantury.

— W kajdany cię zakuć każe — krzyczał do kogoś Chrzęstkiewicz — gdzie dwa listy podzielałeś zbrodniarzu? Dla czego ten rozcięty? Gdzieś był do rana? Czy ty myślisz, podły hultaju, że ja za ciebie odpowiadać będę? Zgnijesz w kryminale i świata nie ujrzysz, tak, zgnijesz psie...

Po tych słowach nastąpiły uderzenia, straszny ryk, szamotanie się, a wreszcie skok jakiegoś ciała, łamiącego krzaki i spadającego na ukrytą w nich Chawę. Był to Franek, uciekający przed pogonią poczhaltera. Żydówka krzyknęła i naturalnym popędem pobiegła naprzeciw goniącego.

— A, złodziej — wołał Chrząstkiewicz, sapiąc, spostrzegłszy ją i osadziwszy się na miejscu — ja jego jeszcze nastaluję!

— Co on ukradł? — spytała bojaźliwie Chawa.

— Poczte, listy porozcinał, pogubił czy poniszczył. O, nie daruję, nie daruję mu tego — krzyczał Chrząstkiewicz, uderzając kijem o ziemię. Jędrzeju! Idź do miasta i przynieś mi librę papieru, zaraz raport spiszę.

Podczas gdy Jędrzej pobiegł po papier a jego pan zamknął się w kancelaryi dla obmyślenia raportu, Chawa weszła do kuchni. Zmartwiona wypadkiem poczhalterowa nie mogła z początku o czym innym mówić, ale zwolna dała się naprowadzić na sprawę jesiotra.

— Kupiłabym — rzekła — gdyby mi Fercio dał pieniędzy. Ale wątpię, ten szelma zrabował pocztę, może tam i dla nas co było, straty dużo...

— On zrabował — pocieszała Chawa — on pójdzie do kozy. No, zmartwienie, ale co państwo temu winni?

— Ile funtów w tym kawałku?

— Dwadzieścia pięć, albo więcej. Nie drogo sprzedam.

Nagle drzwi się otworzyły i wpadł Chrząstkiewicz.

— Masz ty czas Symbchowa? — spytał.

— Na co?

— Pan Kopf z Uściąza pisał do mnie wczoraj, ażeby mu natychmiast przysłać list, jeśli nadejdzie. Ten łotr dopiero dziś z pocztą wrócił, jego już wypędziłem, czybys więc nie mogła listu Kopfowi odnieść? On ci wynagrodzi.

— Kiedy pan każe, zaraz pójdę — odrzekła Chawa i porzuciwszy jesiotra w kuchni, wybiegła.

Widocznie w księdze jej przeznaczeń los przewrócił nową ich kartę. Wczoraj Chawa marzyła o szczęściu Franka, a dziś już szła z listem do Uściąza. Wprawdzie do tego Uściąza, którym Franek gardził, gdzie za drogę płacono tylko kaszą, ale naprzód kasza nie była dla Chawy wynagrodzeniem pogardy godnym, a powtóre kto mógł zaręczyć, że poczhalter nie pośle jej jutro do Polanówki, gdzie rubla dają? Wszakże Franek przestał być roznosicielem, trzeba więc tylko wkraść się do łask pana Chrząstkiewicza...

W tym punkcie swych dumań Chawa rozśmiała się radośnie, jak gdyby jej wielka, osłepiająca myśl zabłysnęła. Co to była za myśl, odgadniemy później, tymczasem winniśmy oddać sprawiedliwość Kopfowi, że za przyniesienie listu wynagrodził żydówkę poczciwie. Kazał jej dać pół garnca grochu, kwartę mąki, kilkanaście marchwi, a nawet jako rzeczywisty znawcapięknosci, z przyjemnością poglaskał ją pod brodę i rzekł:

— Powiem panu Chrząstkiewiczowi, ażeby mi listy zawsze przez ciebie przysyłał.

Chawa ukłoniła się pokornie i odeszła. I tego dnia przeznaczonem jej było zjeść z dziećmi kolację wystawną.

Już wróciła na pocztę z pokwitowaniem, a Chrząstkiewicz jeszcze raportów nie ukończył. Z doniesieniem władzy, że dwie rekomendowane korespondencje przez pocztyliona w drodze zatracone zostały, załatwił się prędko; ale z raportem do burmistrza, śmiertelnego swego wroga, żądającym przyaresztowania Franka, daremnie od godziny się pasował. Zmieniał wyrażenia, kreślił, przepisywał, nareszcie po długich mazołach wypracował akt, który zdaje się odpowiadał w zupełności jego powadze i ważności wypadku.

— Frankowi dałem dymisyę — rzekł do Chawy dumnie, otrzepując o stół pióro z atramentu — jeżelibyś służyła dobrze, dałbym ci posadę roznosicielki.

Żydówka ukłoniła się, dziękując niemem poruszeniem ust. W tej chwili weszła służąca.

— Czy pan będzie jadł jesiotra na zimno? — spytała.

— Ach, prawda, zawołał Chrząstkiewicz, ileż ci się należy za tego jesiotra?

— Drobną rzecz — odrzekła Chawa.

— No przyjdź wieczorem po listy.

Wyszedł. Dnia więc 13 lipca 18** roku Chawa Rubin została formalnie zatwierdzoną w godności roznosicielki listów zwyczajnych i rekomendowanych, po mieście i wsiach, za opłatą co łaska. Wieść o tym wypadku rozbiegła się szybko po Kazimierzu a nawet jednocześnie z raportem doszła do magistratu.

— Słyszałeś, słyszałeś — zawołała pani burmistrzowa, wpadając do kancelaryi męża — Franka Chrząstkiewicz wygnał i tę śledziarkę, Symchowę na jego miejsce...

— Właśnie tu do mnie złożył raport o popełnionej przez Franka kradzieży, żądając, abym go do kozy wsadził.

— Jużbym cię miała za gawrona, gdybyś na to przystał. Czy ty nie pamiętasz, jak ci Chrząstkiewicz u rejentów ubliżył? Ty mu wierzysz, że to Franek pocztę okradł? A jeszcze ta podła żydówka, która mi wczoraj śmiała przynieść resztę jesiotra, co kasyerowej z nosa spadło. Rób zresztą jak chcesz, a ja Franka na stróża już zgodziłam.

— Ale kiedy on rzeczywiście jest złodziejem — odparł burmistrz.

— U nas nie będzie — a w końcu musimy postawić na swoim.

Jakoż rzeczywiście burmistrz postawił na swoim, bo przyaresztowania Franka odmówił i do służby w magistracie go przyjął.

Franek nie należał nigdy do ludzi, łatwo innym ustępujących z drogi, a tem mniej dawał się z niej usunąć wtedy, gdy go wspierało tak potężne ramię, jak burmistrza a raczej burmistrzowej. Znając przytem wiele drażliwych tajemnic urzędu pocztowego, był pewnym, że Chrząstkiewicz winy jego zbyt nie rozmaże i na odwet się nie narazi. Nietylko więc postanowił burzy śmiało czoło stawić, ale nadto zemścić się na żydówce, która miejsce jego zajęła i którą o zdradzenie rewizji listów w karczmie podejrzewał.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż pobudki, jakimi Franek gniew swój motywował, były bardzo obywatelskie i jak gdyby poczerpnięte z uczonych dzieł, wydawanych w celu wytępienia żydostwa. Prawdziwe światło przenika często promieniami swymi aż do nizin społecznych. Dowodem właśnie Franek, który nigdy żadnej rozprawy przeciw żydom nie czytał, a jednakże odczuwał w sobie potrzebne do takiej pracy natchnienia.

— Czort weź służbę — mówił do swego kolegi, drugiego stróża w magistracie — człowiek nie dziś upieczony, robotę znajdzie i znalazł. Ale żeby taka podła żydówka chleb odbierała, to ludziom wstyd i Bogu obraza.

— Albo on ją trzymać będzie?

— Będzie, on za spodnicą w ogień, a za żydem w wodę. A zresztą myślicie, że jemu się coś z tego nie okroi? Ja do mojej kieszeni tylko sam rękę wkładałem i co zarobiłem, to było moje; ale ona będzie musiała duszą się z nim podzielić. Szczeka, żem mupocztę okradł, bo chciał mnie się pozbyć, bom był człowiek poczciwy, rzetelny, pilnowałem swego.

— Juści wiadomo.

— Ach, te żydy, te żydy. Urodzi się sobaka, gdzie nie posiejesz, zębami już złapiesz, to jeszcze ci wydrze. Oj przydałoby się zegnać to plugastwo i w Wiśle potopić.

— Bo prawda.

— Naszemu bratu chleb w kamień się zamienia, im piasek się lepi. Gdzie nie stąpisz, żyd ci nogę podetnie.

— Albo raz!

— Ja tej łachmaniarce nie daruję, ja ją z drogi zawrócę!

Niezależnie od tych pogrózek Chawa roznosiła swobodnie listy, nie porzucając handlu, co jej razem przynosiło pokaźny, bo czasem do połowy rubla dziennie sięgający dochód. Jakkolwiek do Polanówki, gdzie według Franka ruble dawano, listu jeszcze się nie doczekała, dzięki jednak wyjątkowo obfitej w tej porze korespondencji i miłosierdziu adresatów, których łaski roznosicielka umiała sobie skarbić, kasza, groch, kartofle, mąka, stara odzież i grosze obficie ją zasypywały. Najwidoczniejszym tego dowodem były tłustawe twarze jej dzieci, które co dzień dwa razy gotowaną strawę jadały, a nadto maleńki woreczek, który Chawa na piersiach pod kaftanem nosiła. W woreczku tym znajdowało się dziesięć zaoszczędzonych rubli, zadatek przyszłej świątecznej garderoby sześciorga Rubinów. Mówię wyraźnie: sześciorga, gdyż Chawa postanowiła nawet mężowi sprawić nowy szlafrok, co podobno było najwymowniejszym świadectwem jej zamożności.

Równoległe ze wzrostem powodzenia roznosicielki spadało szczęście Franka. Pewnego dnia dostrzeżono w kredensie brak dwu srebrnych łyżek. Burmistrzowa możeby w inną stronę zwróciła swe podejrzenia, ale burmistrz, który ciągle czuł do nowego stróża

wstręt policyjny, natychmiast go wypędził. Daremnie Franek klął się i zapewniał o swojej poczciwości, surowy zwierzchnik przebłagać się nie dał.

— Ta szelma żydówka wszystkiemu winna — rzekł były roznosiciel do kolegi, opuszczając magistrat. — Dopóki ona się nie wdała, każdy mnie miał za poczciwego człowieka.

Z tą słuszną skargą poszedł prosto do szynku, gdzie jakoś współcześnie ze zniknięciem łyżek uzyskał znaczny kredyt. Wypiwszy na zatrucie smutku kilka półkwatek, zaczął z serdecznym płaczem użalać się Srułowej na swoją niedolę i jej sprawczynię.

— Co ona winna? — broniła szynkarka. Czy was podeszła?

— Czemu wsiadła do biedki z jesiotrem — he? bełkotał Franek. Ja się przeżegnał, ona wskoczyła. Zaraz nie koń nas ciągnął, ale kozioł. Ja ją uduszę... Nie uduszę — to ona z głodu zdechnie.

— Nic jej nie będzie — odrzekła surowo Srułowa — teraz może gęsi jadać. Dopiero co tu była, dziś ma list do Polanówki.

— Do Polanówki! — krzyknął, wytrzeszczając oczy, Franek. To mój rubel — ja mojemu panu list odniosę. Do Polanówki!

Jak szalony wybiegł z karczmy i potykając się, popędził za miasto.

Rzeczywiście tego dnia Chawa miała odnieść rekomendowany list do Polanówki. Przez szacunek dla dworu, który tak wspaniałomyślnie posłańców wynagradzał, postanowiła przybrać się niezwykajnie. Właśnie wtedy, gdy Franek wybiegł z karczmy, ona wróciła do domu, ażeby zmienić ubranie. Starannie umyła, w nowej spódnicy i trzewikach, w czystym białym czepku, owinięta niebieską chustką, wyglądała tak pięknie, że w tej chwili można było zapomnieć o jej pracowitości, a pamiętać o urodzie. Zadowolona z siebie, pewna dobrego zarobku, ucałowała dzieci i wyszła.

Drogę do Polanówki obstały z jednej strony wysokie, krzakami obrosłe góry, a z drugiej opasała Wisła. W połowie wszakże droga ta skręca się na wyniosłość i przebiega łożysko małego wąwozu. Chawa wszedłszy w ten wąwóz, zauważyła leżącego przy gościńcu człowieka. Stary szyniel, zniszczona skórzana czapka, ślady unurzania w błocie przypomniały jej Franka. Może to on — pomyślała. Przecież w biały dzień nie napadnie. Zbliżywszy się o kilkanaście kroków, nie wątpiła, że to był jej poprzednik w roznosielskim urzędzie. Zmieszana tem spotkaniem, chciała obejść śpiącego, ale on widocznie ją spostrzegł, bo podniósł się i zaczął iść na przeciw. Chawie strach ścisnął serce, ale postanowiła nie uciekać.

— A gdzie to? — spytał Franek ochrypłym głosem.

— Do Polanówki — odrzekła drżąc żydówka.

— Po co?

— Z listem.

— Oddawaj go zaraz!

— No, dla czego — wołała żydówka — czy to do ciebie?

— Oddawaj! — ryknął Franek, porywając ją za gardło.

Chawa się szarpnęła, on ją ścisnął silniej, wreszcie kilka razy tak wściekle uderzył w skroń, że się natychmiast z nóg zwała. Wtedy zaczął jej na piersiach rozdzierać ubranie, po za którym znalazł list i... woreczek.

Że Franek nie godził na życie i pieniądze Chawy, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Po nad zamiar pierwotny, obmyślany, stał się zabójcą i złodziejem, gdyż w uniesieniu wymierzał zbyt silne ciosy i zabrał woreczek. Było to wszakże tylko nasyceniem zemsty. Chwyciwszy bowiem list, zaczął biedz w kierunku Polanówki. Dopiero pod samą wsią opamiętał się, że poselstwo jego tym razem nie będzie bezpieczne. Wrócił więc i zoczywszy od gościńca, na którym jego ofiara pozostała, przepadł w krzakach.

Tymczasem pół martwa, omdlona Chawa długo czekała pomocy. W godzinę dopiero jadący do Kazimierza rzeźnik, spostrzegłszy w niej znaki życia, włożył ją na wóz i do domu odstawił. Nie rozesłano gońców, nie zbiegli się lekarze dla ratowania chorej, tylko czworo dzieci rozpaczliwym krzykiem daremnie usiłowało przyprowadzić do przytomności matkę, a kaszlący mąż — żonę. Wreszcie wieść o wypadku dobiegła i do babci Włostowickiej, która natychmiast pośpieszyła na ratunek i wezwała cyrulika. Przystawione do pobitej głowy pijawki sprawiły na pozór ulgę, chora jednak pozostawała ciągle w silnej gorączce, odpychała kogoś, chwytając się za piersi, wołała o woreczek, którego, niestety, nie było. Zupełny brak pieniędzy uniemożliwił kurację. Wprawdzie odebrano

od kasyerowej należność za połowę jesiotra, ale to zaledwie wystarczyło na kartofle dla dzieci i przedłużenie konania matki.

Po dwudniowych męczarniach Chawa wreszcie umarła, nie powiedziawszy nawet przed śmiercią, że Franek jej zabrał dziesięć rubli, a ona babci Włostowickiej trzech nie oddała.

— Biedna Chawo, ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała — przebaczam.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chawa-rubin>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Jazmin Million@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0823-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę** na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły** na [stronie Fundacji](http://www.nowoczesnapolska.org.pl).